

Szeptucha 12

Zemsta cz. 1

Szeptucha umościła się wygodnie, oczywiście na tyle wygodnie, na ile pozwalał jej na to mocno dyskusyjny komfort siedzenia w przedziale klasy drugiej pociągu PKP. Nie narzekała. W przeciwieństwie do współpasażera świetnie pamiętała przedwojenne drewniane ławki w pociągach. Siedziała tuż przy oknie, tyłem do kierunku jazdy. W jej skromnym odczuciu właśnie ten sposób chronił przed ewentualnymi nudnościami. I poniekąd miało to głębokie uzasadnienie logiczne. Z zajmowanej przez nią pozycji rejestrowany kątem oka świat nie migotał jak wściekły, a odsuwał się łagodnie, ciągle pozostając w zasięgu wzroku. A co, gdy się siedzi przodem do kierunku jazdy? Szkoda gadać. Jak kto wrażliwy, to paw murowany. Siedzący naprzeciw babki facet był tego najlepszym przykładem. Zielony na pysku, próbował odizolować się od migającego i zaśnieżonego krajobrazu płachtami gazety. Na próżno. Wyglądał, jakby za chwilę miał się porzygać.

– Kawy wam trza – zagadała do niego przyjaźnie babka. – Od jej zapachu zaraz zemdlenie odejdzie.

Facet łypnął zza gazety podejrzliwym wzrokiem i coś burknął niezrozumiale.

– Miastowy? – odgadła Szeptucha.

Facet wzruszył tylko ramionami.

– No, zaraz zgadłam! – ucieszyła się babka. – Jak się w miejskiej dżungli mieszka, to i małpiego obycia się nabiera.

– Wypraszam sobie! Niech pani się zajmie łaskawie swoimi sprawami, a nie obcych ludzi tu obraża! – fuknął zielony pasażer. – Wsiura! – szepnął pod nosem i wrócił do studiowania gazety.

Na jego nieszczęście stara miała słuch doskonały i wyłapała obelgę co do literki. Coś też sobie zaraz pod nosem pomamrotała, zakręciła kilka kółek małym palcem lewej ręki i gbur poderwał się na równe nogi. W panice przycisnął dłoń do ust i wybiegł z przedziału.

– Ciesz się, że większym palcem nie zakręciła, bo byś do kibla nie doleciał! – zarechotała szpetnie stara i z westchnieniem ulgi ułożyła stopy na jeszcze ciepłym fotelu naprzeciw niej.

W tym komfortowym położeniu dojechała do samej Warszawy, i gdy pociąg zahamował ze zgrzytem na Dworcu Centralnym, niespiesznie wstała, sięgnęła po swój wiklinowy kosz i udała się do wyjścia. Miała do pokonania spory dystans. Przystanęła na moment przy ruchomych schodach i pociągnęła nosem z odrazą. Nawet za Niemca na Dworcu Głównym przy Alejach Jerozolimskich w okupacyjnej Warszawie aż tak nie śmierdziało. Stara cmoknęła z dezaprobatą i pozwoliła się powieźć schodom w stronę przystanku tramwajowego. W rękę dzierżyła mapkę wydrukowaną z Google Maps. Słusznie podejrzewała, że od 1942 roku miasto mogło się nieco zmienić, zresztą była tu wówczas jedynie przejazdem. Czy z Niemcami, czy bez nich miasto nie mogło być przyjaznym miejscem do życia. Wystarczy popatrzeć na tych miastowych, jak im to szkodzi. Toteż i teraz Szeptucha nie zamierzała spędzić tu więcej czasu, niż było to konieczne.

Dość sprawnie odnalazła odśnieżony przystanek tramwajowy i grzecznie poczekała na dziesiątkę. Pojazd nadjechał po kilku minutach i ze skrzypieniem powiózł ją w stronę Mokotowa.

– Miau! – rozległa się przytłumiona skarga z wiklinowego kosza, który babka ustawiła na sąsiednim siedzeniu.

– Cicho bądź, kocie! – ofuknęła koszyk. – Biletu za ciebie nie kasowałam.

– Miau!

– No wiem, za siebie też nie kasowałam, ale ja mam legitymację emeryta, a ty nie.

– Miau!

– Nie ma gdzie! Jak wysiadziemy, to się wysikasz, obiecuję!

Za oknem przesuwiał się zaśniewony krajobraz Alei Niepodległości. Mapka pokazywała, że za około dwadzieścia minut tramwaj powinien dotrzeć do celu.

...

Lela siedziała na brzegu basenu znajdującego się pod domem prababki i leniwie rysowała stopą kółka na wodzie.

– Rajat?

– No? – odparł chłopak, kołysząc się na wodzie.

– A jak nas matka nakryje?

– A niby jak?

– No, prababcia pewnie jej powiedziała, że jedzie do Warszawy, więc jak tu przyjdą z ojcem, żeby sprawdzić, co i jak, i nas tu razem znajdą...

– Na basenie? – parsknął Hindus. – A jak niby? Kto by się miał domyślić, że za piecem jest zejście do sekretnego spa?

– No nie wiem – szepnęła Aurelia. – Jakieś złe przeczucia mam i martwię się o prababcię. I kompletnie nie rozumiem, dlaczego nam zabroniła ze sobą jechać.

– Sama może chciała być.

– Sama, sama! – fuknęła dziewczyna. – I to jest właśnie podejrzane! Dotąd nie miała przed nami tajemnic, prawda?

– No prawda – stropił się Rajat.

– Uważam, że powinniśmy za nią pojechać.

– Ale dokąd? Nie powiedziała dokładnie, gdzie się wybiera.

– No... do Warszawy.

– A byłaś ty kiedyś w Warszawie? – parsknął Hindus. – Oczywiście to nie Bombaj, ale i tak łatwo się tam zgubić.

– A ty niby skąd o tym wiesz? – obraziła się Lela.

– Przypłynąłem do Polski statkiem. No wiesz, Lucyna raczej do samolotu by się nie zmieściła.

Fakt, słońca być może zmieściła by w sobie samolot, ale raczej nie odwrotnie.

– Pierwsze słyszę, żeby statki zawijały do Warszawy – podsumowała ironicznie dziewczyna.

– Oj, Lela, statek przybił do portu w Gdyni, ale zanim Lucyna przeszła kwarantannę, zwiedziłem to i owo. Poleciałem do Warszawy na kilka dni, więc ci mówię, jak tam jest. Z okien najwyższego hotelu nie widać końca miasta.

– Hotelu, hotelu! – nadęła się do reszty Aurelia. – Na hotel masz, a babce do żuru nawet się nie dołożysz!

– A co to ma niby znaczyć? – zdenerwował się Rajat i energicznie wyskoczył na brzeg basenu.

– A nic! – Dziewczyna poderwała się na równe nogi i obrażona pobiegła w stronę schodów.

Rajat odprowadził ją wzrokiem i podrapał się po głowie w międzynarodowym geście wyrażającym kompletny brak zrozumienia sytuacji.

...

Tramwaj wyhamował łagodnie na ulicy Wołoskiej i Szeptucha wygramoliła się ostrożnie na nieodśnieżony chodnik, ściskając na podołku wiklinowy kosz. Podreptała na drugi brzeg ulicy. Szczęśliwie z boku parkingu rosły uginające się pod śniegiem krzaki.

– Wyłaż! – szepnęła do kota.

Z koszyka wysunął się spasiony kocur, i ostrożnie stawiając łapy na szarawym śniegu, oddalił się z godnością za strzeliste jałowce. Zaraz też wystawił zza krzaków wąsaty pysk.

– Nie mogę! – zamiauczał żałośnie. – Spalinami tu cuchnie!

– Delikatesik się znalazł! – zarechotała babka. – Nie chcesz, to nie. Do kosza właż, bo sprawę mamy do załatwienia.

Za chodnikiem rozpościerał się wydeptany tysiącem stóp szlak wiodący do świątyni cierpienia. Tam właśnie podreptała Szeptucha. Kot rozdał nozdrza i wzdrygnął się z odrazą, ale

posłusznie pokłusował za swoją panią. Tuż przed schodami wskoczył sprawnym susem do koszyka.

Szpital MSW na Wołoskiej napierał szarą fasadą wąskiego frontu na ruchliwą arterię ulicy. Wystarczyło jednak wejść za stalową bramę i zewnętrzny świat zniknął, stłumiony szmerem stóp odwiedzających. Lizol atakował zmysły już w holu. Babka poczłapała do rejestracji i stanęła grzecznie na końcu kolejki. Bardzo długiej kolejki.

...

– Lela! – błagał Rajat, pukając natarczywie w drzwi łazienki.

– Lela, no wyjdź! Co ja ci takiego zrobiłem? Coś złego powiedziałem?

Zza drzwi słychać było przytłumiony szloch nastolatki i jęśliwe próby wydmuchania nosa.

– Leluś! Otwórz! – prosił chłopak. – Mam nie jeść żuru? O to chodzi? Mogę nie jeść, tylko wyjdź już!

Subtelne parsknięcie mogło być zarówno objawem rozbawienia, ale równie dobrze wyrazem głębokiej pogardy. Nastolatki płci żeńskiej to bardzo skomplikowane emocjonalnie stworzenia. O tym pradziad Józek również kiedyś mu mówił, ale dopiero teraz Rajat zaczynał rozumieć, o co nestorowi chodziło.

– No to mam jeść? – szepnął cichutko do dziurki od klucza.

Parskanie za drzwiami tym razem z pewnością nie było łkaniem ani nawet wyrazem dezaprobaty. Lelka rżała jak koń, ale dla porządku rzeczy próbowała wytłumić kolejne spazmy śmiechu, przyciskając twarz do ręcznika.

– To ja pójdę i wypuszczę Lucynę na pole szlachetnej pani Stachańskiej – powiedział Rajat, wycofując się bezszelestnie spod drzwi łazienki. – Słyszysz? Zaraz wracam, a ty może wyjdź już. Dobrze?

Jak okiem sięgnąć, podwórze spowijała gruba warstwa śniegu,

która na okolicznych polach uformowała gigantyczne zaspę. Rajat westchnął głęboko i chwycił łopatę. Jeśli znów nie zacznie sypać, to najdalej za godzinę przebije się do stodoły i wypuści słońcę na wieczorny spacer. Lucyna była nieco apatyczna po wyjeździe Mruczka do stolicy, ale w dalszym ciągu miała pewne potrzeby fizjologiczne. Gigantyczne z ludzkiego punktu widzenia.

Cichy i spokojny zimowy wieczór był tak kompletnie egzotyczny dla mieszkańca zatłoczonych Indii, że ów oparł się o łopatę i zapatrzył w rozgwieżdżone niebo.

– No, tera to widać, że polskie korzenie masz! – rozległ się chropowaty głos zza płotu.

– Kto tu jest? – spłoszył się Rajat.

– A kto ma być? – zarechotał starczo głos. – Sąsiadka, ta sama, której pole paskudzicie pospołu z tym słońcem.

– Ja tam niczego nie paskudzę! – zaproponował gorąco chłopak.

– Ha! Więc się właśnie przyznałeś, że słoń fajda!

– Przyznałem się? – zapytał ostrożnie Hindus, po raz kolejny tego dnia dziwiąc się meandrom, którymi krążyły kobiece myśli.

– No tak. Powiedziałeś, że to nie ty, ale nic o słońcu nie powiedziałeś.

Wątpliwa logika nie do końca przekonała Rajata, więc bez słowa powrócił do odśnieżania podwórka. Głos jednak najwyraźniej nie skończył złowieszczej konwersacji.

– A gdzie to Oleśkę wywiało? – zapytała starucha nieomal niewinnie.

– Ja tam nie znam żadnej Oleśki – wydyszał lojalnie Rajat znad łopaty.

– Nie dworuj se ze starej sąsiadki, chłopcze! Wiesz dobrze, że mi się o Szeptuchę rozchodzi.

– Było się jej samej przed wyjazdem zapytać – oburknął chłopak.

– Czyli pojechała tam?

– Nie pani rzecz!

– Pociągiem?

Rajat zaczął mocniej wywijać łopatą, próbując ignorować wścibską Stachańską. Nie dało się. Właśnie wparowała na podwórze ze skrzygnięciem furtki i z podziwu godną zwinnością brnęła w stronę chłopaka przez śnieg.

– Pociągiem, pytam? Na Dworzec Centralny? – wysyczała baba.

– A niby skąd mam wiedzieć, na jaką stację? – próbował się bronić chłopak.

– Ha! Znaczący i pociągiem, i do Warszawy – zarechotała sąsiadka. – A ty się, chłopcze, pilnuj. Po coś z tą rodziną zatraconą w konszachty wchodził, to ja nie wiem.

– Ja jestem z rodziny! – dał się podejść Rajat.

– Nie jesteś! – podpuszczała dalej Stachańska.

– Jestem prawnikiem Józka!

Sąsiadka popatrzyła wnikliwie na chłopaka i uśmiechnęła się złośliwie. Bez słowa obróciła się na pięcie i niezwykle dziarsko wymaszerowała z podwórza. Cień pobliskich jałowców dosłownie wessał ją w mrok. W sumie miała sporo szczęścia. O pół metra zaledwie minęła dusioła, którego z lasu wygnał w obejście Szeptuchy głód. Miał nadzieję ukraść jakąś kurę, ale w obliczu najnowszych wydarzeń głód gwałtownie go opuścił.

– Szeptucha to Olesia? Możliwe to? – Obliznął się niepewnie, a jego zielone nozdrza rozdęły się na wspomnienie dziewczuchy, która nie dość, że nie dała się zjeść, to i osłabiła go z części mocy na długie dziesięciolecia. Od 1942 roku dusioł czekał cierpliwie. Może to być, że zemsta właśnie teraz się dokona?

...

– Dziecko, ja nie o pozwolenie pytam, ino informuję, po co przybyłam! – wyjaśniła z godnością Szeptucha recepcjonistce.

Recepcjonistka, przy tuszy i dobrze po pięćdziesiątce, stuknęła z irytacją pazurami w kontuar.

– Próbuję pani właśnie wyjaśnić, że do pana profesora to się

trzeba zapisać na wizytę. Skierowanie od lekarza pierwszego kontaktu mieć. A potem wyznaczymy termin wizyty.

– A na kiedy?

– A ma pani skierowanie?

– Nie mam jeszcze, ale jakbym miała, to na kiedy się można zapisać? – droczyła się stara.

– Bez skierowania nie powiem! – nadeła się recepcjonistka.

– Powiesz! – pstryknęła paluchami Szeptucha i wpiła w kobietę natarczywe spojrzenie.

– No dobrze. Powiem – skapitulowała natychmiast nieuprzejma baba. – Na szóstego czerwca bym mogła zapisać.

– Szaleju się chyba, dziecko, najadłaś! Dzisiaj mamy dwudziesty dzień grudnia, a ty chcesz mnie pół roku w poczekalni przetrzymać?

– No, nie w poczekalni. Do domu pani pójdzie, i w wyznaczonym dniu przyjdzie na wizytę...

– Ja dzisiaj do doktora mam sprawę! – rozsierdziła się babka.

– Jakbym z nim w czerwcu do pogadania miała, to bym się dzisiaj do tego miasta zatraczonego nie pchała. Zaraz mi go tu wołaj!

– Niech się pani łaskawie uspokoi, bo ochronę zawołam! – wrzasnęła recepcjonistka.

– A se wołaj, smarkuło, wołaj. Samam ciekawa, jak szybko przylecą! – zarechotała złośliwe Szeptucha i uchyliła wieko wiklinowego koszyka.

Kot wystawił ostrożnie łebek ze środka i niespiesznie lustrował okolice recepcji.

– Mruczek, w oczy jej patrz! – rozkazała Szeptucha. – A ja tu trochę uładzę okolicę.

Recepcjonistka, schwytna w bursztynowy potrzask kocich oczu, uśmiechnęła się głupawo i zaczęła się bezmyślnie kołysać z boku na bok. Babka w tym czasie wyciągnęła z za pazuchy mały drewniany krzyżyk, i mamrocząc pod nosem, celowała nim w stłoczonych w sali ludzi. Zdumienie szybko zgęstniało na ich twarzach, a po chwili zastygli całkowicie w pozach, w których

zaskoczyło ich zaklęcie.

– Mruczek, do mnie! – zakomenderowała Szeptucha.

Kot wycofał się do koszyka. Babka zgarnęła go pod pachę i niespiesznie podreptała w stronę schodów, omijając po drodze nieruchome ludzkie figury.

– Miau! – skomentował Mruczek.

– Dlaczego akurat krzyżyk, pytasz? – zarechotała babka. – Moja matula mówiła, żeby karmić ludzi tym, co znają, bo obce wypłują. A poza tym ten krzyżyk fikuśny taki i poręczny. No! Idziemy na drugie piętro.

– Miau!

– Nie można windą. Stanęła razem z czasem. Nie działa, jak amen w pacierzu. Na piechotę nam trza.

...

Rajat dotarł do stodoły i z niemałym trudem otworzył skrzydło drzwi. Lucyna zatrąbiła na jego widok entuzjastycznie i wybiegła truchtem na pole Stachańskiej. Chłopak miał mętlik w głowie. Czuł, że niepotrzebnie dał się tej starej wiedźmie pociągnąć za język, i że baba mózg mu skołowała. Miał tylko nadzieję, że nie wynikną z tego jakieś kolejne kłopoty. Podobało mu się życie w Kierzbudach, choć aktualna aura stanowiła dla niego nie lada wyzwanie. Dobrze mu tu było na tej prowincji egzotycznej z cioteczną prababką i z Aurelią. Takich przygód jak tutaj to nie przeżył nigdzie. A widział sporo. Chłopcy wywodzący się z zacnych warn przed osiągnięciem pełnoletniości byli wysyłani do zagranicznych szkół. Tak Rajat poznał Wyspy Brytyjskie, większość krajów europejskich i kilka miast Ameryki Północnej. A jednak w tej nadbużańskiej wsi żyło mu się najlepiej. I nie chciał, żeby coś się zmieniło. Poczłapał przez śnieg do domu, i otupawszy starannie buty, wszedł do sieni. Miał nadzieję, że Lelka już wyszła z łazienki i przestała się dąsać. Bo Rajat kompletnie nie rozumiał, o co jej chodziło.

– Lela? – zapytał cichutko, wchodząc ostrożnie do salonu, będącego jednocześnie centrum zarządzania babki. Monitory błyskały tajemniczo, emitując sceny z chałup wszystkich mieszkańców wioski. Rajat podszedł do pierwszego z lewej strony komputera i pospiesznie sprawdził, czy nie ma nowych wiadomości na poczcie. Oprócz kilku niezwykle fascynujących propozycji powiększenia biustu znalazła się krótka wiadomość od matki.

Ufam, żeś zdrow. Nie mamy od Ciebie wieści, synu.

Rajat obiecał sobie, że wkrótce nadrobi to zaniedbanie, i szybciotko wylogował się ze skrzynki. Ze skrzyknięciem drzwi z łazienki wyłoniła się w obłokach pary Aurelia.

– Musimy porozmawiać – ogłosiła, zaciskając mocniej pasek szlafroka. Oddaliła się w stronę sąsiedniej izby i musztardowej szafy, w której prababka jej półkę na ciuchy przeznaczyła.

Szeptucha 10

Szeptucha. Dożynki cz. 2

Pokrzepiony wiśniówką Zenek kroczył energicznie środkiem drogi, ściskając kartkę, na której baby wypisały mu listę wiktuałów kluczowych dla przyszłego dożynkowego zwycięstwa. Część nie nastroczała problemu. Grzyby do bigosu, jagody do drożdżowych jagodzianek i ryby do marynowania w occie to kwestia wyprawy do lasu i nad Bug. Przy odrobinie szczęścia nałapie szczupaków i okoni. A jak się nie uda, to nieopodal znajdują się stawy hodowlane, do których od południowej strony łatwo się podkraść nocą. Zające złapie się we wnyki albo w

ostateczności podkradnie króliki starej Stachańskiej. Ma ich tam chyba ze trzydzieści białych i czarnych. Jak się je sprawi, to się baby od gotowania nie połapią. Z dziczyzną gorzej. Tu szykowały się niezbędne wydatki, ale to już niech się sołtys Alojzy martwi. Jak flaszkę da, to się Jacka Wrębnego na kłusowniczą wyprawę wyśle. Chłop jeszcze w życiu nie kupił w sklepie niczego innego niż wino, więc wiadomo, gdzie się żywi.

Zenkowa przyszłość w każdym razie rysowała się niezmiernie interesująco. Z poczuciem misji podreptał do własnej chałupy. Spodziewał się, że część jego kłopotów aprowizacyjnych znajdzie szczęśliwe rozwiązanie właśnie tutaj.

Podwórze przywitało go grzebiącymi w błocie kurami i drącym się wniebogłosy kogutem. Jego ślubna jako jedyna chyba w okolicy z uporem trzymała ptactwo, czego Zenuś kompletnie nie rozumiał. Jajka w sklepie były po sześćdziesiąt groszy, to po cholere to dziadostwo trzymać?

– Matka! – wrzasnął donośnie od furtki, ale zamiast małżonki na podwórze wyległo stadko zenusiowych pociech płci obojga i obsiadło ojca jak muchy.

– Tato! – wrzasnął zasmarkany malec. – Tato, głodny jestem!

– Tato! – dodała jasnowłosa Madzia. – Mama chyba niezdrowa...

– Tato! Jeść! – zapłakał najmłodszy, Antek.

W ogólny rejwach wciął się znenacka głos zenkowej żony.

– Przylazłeś wreszcie, obiboku? – zaskrzeczała Leosia Kapelusznica z wnętrza chałupy.

Zenuś strząsnął ze spodni zasmarkany drobiazg i pospiesznie ruszył do środka. Leokadia leżała na wersalce, podparta poduszkami, i niańczyła na podołku niemowlę. Patrzyła na Zenka wzrokiem bazyliuszka i zgrzytała zębami.

– Leosia! – zaszemrał aksamitnym barytonem Zenek. – Widzę, że znowu dzidziusia mamy! – cmoknął z udawanym entuzjazmem i pogłaskał kędzierzawą główkę noworodka.

– Zęby ma – odezwała się głucho Leokadia i wetknęła dzieciaka w ręce skacowanego tatusia. – Ja go nie chcę. Rób z nim, co chcesz! – zaszlochała głęboko i odwróciła się w stronę naderwanej tapety za wersalką.

– Leosia! – zacukał się Kapelusznym. – Ale co ja tam o niemowlakach wiem? Co ja mam z nim robić?

– Uduś najlepiej, zanim kogoś zeżre! – wrzasnęła Kapeluszna.

Dzieciak spał słodko w zagłębieniu zenkowego ramienia. Jego regularne rysy tak bardzo odróżniały go od stadka dotychczasowych dzieciaków, że Kapelusznym zamarł na chwilę i kontemplował twarzyczkę dziecka. Chłopczyk był tak piękny, że aż serce rwało. Zenek zawinął niemowlę w zabłocony sweter i pospiesznie wyniósł z chałupy. Niemożliwe, żeby tak piękne dziecko mogło zagrozić komukolwiek. Stara histeryzuje i tyle. Się znajdzie kobietę, która da chłopaczkowi serce, a Zenuś w tym czasie wypełni zlecenie sołtysa. Kapelusznym ruszył dziarsko drogą, a nogi zawiodły go bezwiednie do obejścia starej babki. Stanął przed krzakami i nieporadnie wsunął tobołek z synkiem pod prawe ramię. Lewym, wolnym ramieniem przeżegnał się i odgarnął dorodne jałowce. Przez chwilę głaskał z zakłopotaniem gałązki, lecz po głębszym namyśle się wycofał. Do babki bez prezentów nie godzi się iść. Zenek odwinął się na pięcie, i tuląc śpiące niemowlę, ruszył do lasu. Koszyk grzybów się uzbiera w prezencie, a i przy okazji intendenckie obowiązki się odbębni. Zrobi się w jagodzinach wizytację. Trza wiedzieć, gdzie dzieciaki z kubkami na zbiory przysłać.

...

Janka odetchnęła głęboko, i czekając, aż jej tętno się nieco uspokoi, lustrowała podwórze starej. Niewiele się tu zmieniło

od czasu panieńskich nocy z Bogusiem, gdy zakradali się na podwórze babki dla żartu, pili w pobliskich krzakach piwo i – co tu dużo gadać – poczęli Aurelkę. Ślub, choć pospieszny, stał się zarzewiem plotek wyłącznie dla sklepowej Jadźki, która swoje domysły i domniemania próbowała zaszczepić zupełnie niezainteresowanym tematem i przeważnie nietrzeźwym sklepowym bywalcom. Wszyscy we wsi wiedzieli, że Janka jest dla Bogusia stworzona, i ich romans nie gorszył nikogo. Najbardziej, co pomimo antagonizmów musiała przyznać Janka, sprzyjała im babka Olesia. Inna sprawa, że starowina nie miała kompletnie pojęcia o przeszłości Janiny. Widziała w niej, jak wszyscy, dorodną blondynkę w typie germańskim. i nie stawiała pytań. Dziwne, ale nie zadawał ich nikt w Kierzbudach. To sprawiło, że Janka postanowiła osiedlić się właśnie tutaj. Uciekła z pogromu w małej westfalskiej wiosce i z jakiejś przyczyny ruszyła na wschód. W tej nadbużańskiej wsi znalazła święty spokój i przystojnego męża, który nie zadawał żadnych pytań. Wystarczyło mu mgliste wyjaśnienie, że rodzina Janki tragicznie zakończyła żywot w pożarze. Osinowe kołki, które dopełniły ognistego dzieła, dziewczyna profilaktycznie w opowieściach pominęła, zresztą długo by opowiadać.

Podwórze zdawało się być opuszczone. Kot gdzieś pewnie łaził, słoń najwyraźniej zaszył się w stodole. Babki nigdzie nie było widać, podobnie Aurelii. Jasia po chwili zauważyła ze zdumieniem, że kuchnia letnia została przez żywioł jakiś pozbawiona dachu, leżącego obecnie w strzępach na polu tej starej cholery Stachańskiej.

– Halo! Jest tu kto? – krzyknęła.

Nikt się nie odezwał. Na polanie panowała niczym niezmacona cisza. Jasia podeszła ostrożnie do drzwi letniej kuchni i włączyła tłumione na co dzień ponadnaturalne zmysły. Węszyła ostrożnie, ale nie wyczuła zapachu krwi. Żadnego rodzaju krwi. Ciepłej ani zakrzepłej. Dosłownie żadnej. Na polanie nie wyczuwało się zapachu żywego stworzenia. A węch wampirzycy był w stanie wykryć wonie nawet sprzed kilkunastu lat.

– Niemożliwe – szepnęła do siebie Jaśka. – Lela! – wrzasnęła spanikowana. – Dziecko! Gdzie jesteś? Aurelka!? Gdzie się wszyscy podziali?

...

– Cosik mi się wydaje... – Szeptucha zawiesiła głos i spojrzała badawczo w oczy Lucyny. Słonica odwróciła wzrok i udawała niezmiernie zajęta skubaniem słomy z poważy.

Stara coś tam sobie pomamrotała pod nosem, a po chwili podstępnie pstryknęła palcami. Spod ucha słonicy wyturlał się na ściółkę Mruczek.

– No i dobrze mi się wydawało! – zarechotała babka. – Wyłaż, niecnoto.

– No co! – bąknął kot i zjeżył sierść na grzbiecie.

– Dobrze wiesz, co! – odcięła się Szeptucha. – Idziemy! – zakomenderowała i otworzyła wrota stodoły.

Mruczek zwiesił głowę i podreptał za babką. Słonica pożegnała go krótkim, ale wielce bolesnym buczeniem.

...

– No i popatrz, synek! – triumfował Kapelusznym. – Koszyk grzybów mamy uzbierany, to i do starej babki możemy w odwiedziny iść. Ona będzie wiedziała, co z tobą robić.

Noworodek najwyraźniej nie znalazł zrozumienia dla tatowego optymizmu życiowego i rozdarł się całą mocą swoich ponoć niedojrzałych płuc.

– Cichaj, chłopie, no cichaj! – zadysponował Zenuś, ale dzieciak najwyraźniej miał ojcowskie dyspozycje głęboko w zafajdanej pieluszcze. Nienawykły do obcowania z własnym potomstwem Kapelusznym potrząsnął zniecierpliwiony kilka razy tobołkiem, co zupełnie nie wpłynęło na natężenie wrzasku

noworodka. – Cichaj, cholero, bo dusioł przylezie i cię zeżre!
– odwołał się do lokalnych bajań Zenuś. Dzieciak darł się dalej w niebogłoty.

Zrezygnowany Kapleuszny przysiadł na pniaku i potarł nerwowo skronie. Koszyk stał przy jego podrygującej ze zniecierpliwieniem, obutej w gumofilca stopie. Nawet las był najwyraźniej przeciwko niemu, bo spod mchów wypełzła zniecka mleczna mgła i oplótła Zenusia lodowatymi rozmazami kropelek wody.

– Diabli nadali! – uzalił się wioskowy pijak, i tak do końca nie wiedział sam, czy chodzi mu o nieposłuszną żonę, wrzeszczącego dzieciaka czy zmienną aurę. Ta ostatnia najwyraźniej szalała. Mgła z sykiem skręcała się wokół pniaka, mroząc leśne powietrze. Zenek poderwał się na równe nogi i wtulił tobołek z dzieciakiem pod połę waciaka. Z pobliskich gałęzi zaczęły się sypać zmrożone na kość ptaszki. Z jęśliwym dźwiękiem, podobnym do roztrzaskiwanych na marmurze kryształowych żyrandoli, na ściółce rozpadały się sójki. Gdzieś z głuchym łoskotem spadały kruki, sztywnymi skrzydłami strącając świerkowe szyszki.

– Szatan jakiś... – szepnął Kapelusznym i obronnym gestem dzieciaka przytulił, nie zważając już nawet na jego wrzaski.

– Aj tam, szatan! – rozszedł się po wyziębionym lesie złowieszczy rechot.

– Kto tu jest? – wrzasnął histerycznie Zenek, wpychając głębiej pod pachę drącego się wniebogłoty synka.

Mgła zasnuwała jałowce. Ziab strącał z gałęzi fioletowe owoce, które ze szklanym brzękiem toczyły się po zaszronionym mchu.

– Witaj! – Przed Zenusiem zmaterializował się z głuchym pyknięciem opancerzony, zielony stwór. – Wzywałeś dusioła, więc dusioł przybył, i jest gotów zeżreć przyobiecane niemowlę.

– Niedoczekanie! – wrzasnął bohatersko Kapeluszny i odskoczył za pobliskie jałowce. – Zgiń i przepadnij, maro nieczysta!

– Ha, ha – skwitował dusioł. – Jakby to takie proste było...

Kapeluszny złożył palce w znak krzyża i zaczął deklamować „Ojcze nasz”.

– To też nie działa – wyjaśnił pogodnie opancerzony stwór.

Zenek odwrócił się na pięcie i podjął rozpaczliwą próbę ucieczki. Po kilku krokach jego stopy utknęły w głębokim mchu.

– Nie uciekniesz – łagodnie skomentował dusioł. – Wzywałeś dusioła i dusioł przyszedł. Daj niemowlę i możesz sobie iść. Ciebie żreć nie mam zamiaru.

– Nigdy! – wrzasnął bohatersko Zenuś, w jednej chwili dokumentnie trzeźwiejąc.

– To się jeszcze zobaczy! – zarechotał pradawny jaszczur i leniwie podszedł do unieruchomionego Kapelusznego. Niemowlak darł się pełnią młodocianych płuc.

Dusioł otworzył paszczę, świdrując Zenka czerwienią oczu. Kapeluszny wyszarpnął z za pazuchy zawiniątko z synkiem i ucałował zaczerwienioną od wrzasku twarzyczkę. Owinął pospiesznie w waciak i odrzucił jak najdalej od siebie. Sam nie mógł się ruszyć, ale miał nadzieję, że dusioł nazre się jego przepitymi gnatami i dzieciakowi da spokój. A jak Bóg da, to się tu Lelka albo stara napatoczą i płacz małego usłyszą.

– Aleś ty głupi! – zarżał dusioł i powoli podszedł do ciśniętego w mech zawiniątka.

– Zostaw go, hieno zasrana! – wrzasnął Zenek.

Dusioł stanął nad dzieciakiem, i przekrzywiwszy jaszczurzy pysk, analizował przekąskę.

– Zostaw, zasrańcu! – darł się unieruchomiony Kapeluszny.

Stwór delikatnie odwinął pyskiem waciak spowijający rozwrzeszczanego dzieciaka i polizał nadęty brzuszek malucha.

– Zarżnę cię jak świnie! – darł się Zenek.

– Nic mi nie zrobisz – zbagatelizował sprawę dusioł i przytknął nozdrza do różowej klatki piersiowej noworodka. Polizał zapłakaną twarzą i wyszczerzył sine zębiska.

– Babko! Babko, ratuj! – wydarł się histerycznie Kapelusznym.

– Ha, ha, ha – zarżał dusioł i uchwycił łapczywie główkę dziecka w zębatą paszczę.

– Nie!!!! – załkał Zenek, i uwolniony nagle z więzienia mchu, opadł na kolana. Nakrył rękoma głowę i oddał się totalnej rozpacz. Po chwili na jego poszarzałe z brudu dłonie zaczęły spadać jakieś małe, zimne kamyczki. Poniósł głowę i z niedowierzaniem nią potrząsnął. Jego dzieciak siedział w paszczy dusioła, i radośnie gaworząc, wrywał mu kolejne zęby. Dusioł darł tylnymi łapami darń i najwyraźniej nie mógł się poruszyć.

– Synu! – wrzasnął Zenuś i podbiegł do rozwartej paszczy.

– Ostaw! Niech dzieła dokończy – rozległ się na polanie władczy głos Szeptuchy. Ona sama pojawiła się niespodziewanie na polance w towarzystwie Lelki, Hindusa i kota.

– Ale...

– Ostaw, mówię! – rozeźliła się stara.

Kapelusznym stał bezradnie kilka kroków od prawnie stworu, któremu jego ledwie narodzony syn rwał metodycznie kły i beztrosko rzucał za siebie.

– Babko... – zaskowyczał Zenek.

– Nic to, Zenuś – uspokoiła go stara. – Nic dziecku nie będzie.

Dla Kapelusznego sensacji jak na jeden dzień było stanowczo zbyt wiele. Usiadł na mchu i wodził obłąkanym spojrzeniem od starej do maleńkiego synka, który właśnie zakończył rwanie zębów potwora, i wpił się w jego szyję, najwyraźniej chłepcząc posokę z lubością.

– Wracaj do zadań przez sołtysaznaczonych! – zadysponowała stara, zgarniając niemowlaka ze zwłok potwora. My się tu wszystkim zajmujemy i nawet twoje przyszłe ludobójstwo naprawimy, Zenuś. Idź już!

– Miau! – potwierdził bury kocur Szeptuchy.

Po chwili cała kompania, wraz z niemowlęciem i pokrytym łuskami trupem dusioła, zdematerializowała się z cichym pyknięciem.

Zenek zachybotał się w mchu i otarł zapłakaną twarz rękawem kraciastej koszuli.

– Nic to – szepnął. – Na łowy mi trza. A najpierw do sklepu, zszargane nerwy ukoić. – Zenek chwycił kosz i skaleczył palec o nadłamaną gałązkę wikliny. Krew kapnęła do środka. – Co jeszcze, psiamać? – poskarżył się płacząco, kierując wzrok w stronę nieba. A potem poczłapał ciężko w stronę wsi, co jakiś czas machinalnie schylając się po kolejne grzyby.

...

Z dyskretnym cmoknięciem wesoła kompania Szeptuchy zmaterializowała się przed drzwiami letniej kuchni.

Jasia, która w tym czasie zdążyła obejść ostrożnie zabudowania w poszukiwaniu pierwotnej córki, nieomal zderzyła się z Rajatem, a potem małowniczo zasłała, osuwając się na murawę.

– Mamo! – przypadła do niej Aurelka.

– Skocz, Rajat, do kuchni, i główkę czosnku przynieś! – zadysponowała stara, podtrzymując na podołku śpiące niemowlę.

Na uśmiechniętej błogo maleńkiej twarzyczce znać jeszcze było drobinki zielonych łusek, a bródkę miał dzieciak poplamioną jaszczurzą posoką.

– Prababciu, ale mama nie znosi czosnku – zaproponowała Lela.

– Toć wiem. Woń niemiła łącniej ją docuci.

I rzeczywiście. Ledwie Rajat z kuchni wyskoczył, to Jaśka nos gwałtownie zmarszczyła i poderwała się na równe nogi, choć jej twarz nabrała butelkowej zieleni.

– Zabierz to cholerstwo! – syknęła wściekle do Hindusa.

– Już dobrze, dobrze. – Stara odprawiła chłopaka gestem dłoni.

– Zemdlałaś, Jasia. Docucić chcieliśmy.

– Co tu się do cholery dzieje? – wrzasnęła Jaśka.

– A co się ma dziać? – Wzruszyła ramionami babka.

– Przychodzę, a tu nikogo nie ma i... – zacukała się matka Aurelii, o włos unikając dekonspiracji. Jak niby miała wytłumaczyć, że jej węch wyłapuje zapach krwi z dokładnością do dwudziestu lat?

– No, sprawy załatwialiśmy, ale przecież już jesteśmy prawda?

– Łagodnie tłumaczyła Szeptucha. – Chodź do kuchni, herbaty się napijemy.

Jasia obrzuciła badawczym spojrzeniem ziejącą pustkę po dachu.

– A to? – Kiwnęła głową w kierunku zdewastowanego budynku.

– A taki tam drobny wypadek przy pracy. – Babka machnęła ręką.

– Jaki znowu wypadek? Ja wam dziecko swoje na wychowanie dałam, a wy o jej bezpieczeństwo tak dbacie? – ryknęła Jasia.

– Cicho bądź, bo dzieciaka obudzisz!

– Jakiego dzieciaka? Lelkę? – Zdezorientowana kobieta zerknęła

na stojącą opodal Lele i ponownie na starą. Dopiero teraz zauważyła niemowlę.

– Czyje to?

Jasia odruchowo podeszła bliżej, by natychmiast odskoczyć z grymasem odrazy wymalowanym na twarzy.

– Zęby ma! – bardziej stwierdziła niż zapytała.

– A jakie ostre! – zacmokała z zadowoleniem stara.

– Czyje to? – ponowiła pytanie Jaśka.

– A Zenka. To już rozumiesz, dlaczego musiałam do siebie przygarnąć?

– Kapelusznego Zenka? – zdziwiła się matka Aurelki. – A skąd u niego...

– A ty widziałaś, co on pije? – Wzruszyła ramionami Szeptucha.

– Od tego różne mutacje się robić mogą!

Za plecami Jasi kot wyczyniał niezłą gimnastykę, by upchnąć za skalnikiem zwłoki dusioła.

...

Zenuś otarł usta i z westchnieniem opadł na ławeczkę. Na wpeł opróżnioną butelkę wkręcił starannie w piach obok koszyka z grzybami, by zapobiec ewentualnemu wyciekowi trunku.

– A coś ty, Zenuś, taki osowiały? – zagaił Jacek Wrębny, przysiadając na ławeczce. – Stało się co?

– Aj, stało się, stało – westchnął ciężko Kapelusznym. – Stara mi dzieciaka znowu powiła.

– O cholera. – Podrapał się w beret Jacek. – Masz tam co jeszcze we fłaszeczce?

– Tyle, co nic. – Wzruszył ramionami Zenuś. – Ale pij, kamrat,

na zdrowie.

– A nie, nie! Postawić chciałem, żeby zgryzoty odegnać.

– A... nie odmówię. Pomóc może nie pomoże, ale i nie zaszkodzi.

Dalsze minuty upływały mężczyznom w ciszy, przerywanej jedynie dość częstymi seansami gulgotania. Nad szosą schylało się czerwone słońce i barwiło plandeki przejeżdżających TIR-ów. Od strony lasu nadciągał wczesny wrześniowy wieczór. Zenek mimowolnie się wzdrygnął.

– Jacek?

– No?

– Ty las dobrze znasz...

– A znam, a co?

– A dusioła kiedyś widziałeś?

– Nie widziałem, ale nie raz mi jakieś cholerstwo wyżerało sarny z wnyków – odparł poważnie Wrębny.

– Dusioł?

– Tak mi się widzi.

– A jakbym ci, druhu, powiedział, że dusioła już nie ma? – zapytał ostrożnie Zenuś.

– Nie może to być. – zaśmiał się Jacek. – Dusioł od dawna te lasy zamieszkuje i nikt go stąd nie wygoni.

– A wiadomo, od kiedy on tu grasuje? – zaciekawił się Zenek.

– Ponoć od wojny go widują. Stare babki gadają, że za esesmańcami przyłazł, bo mu bardzo smakowali, ale kto to wie, jak było? Ludzi tu u nas nie atakował. Kury czasem za Gomułki żarł po kurnikach, ale też pewności nie ma. Może to miastowe kradli? Wiesz, jaka u nich bryndza wtedy była. Kartki...

– No, mogło tak być – zgodził się Zenuś. – A ludzi nic nie żarło?

– No wiesz, Zenuś, komuna komuną, miastowe dziwne stworzenia, ale żeby ludzi...

– Nie o miastowych prawie! O dusiole!

– Aaaa... Nic mi nie wiadomo, żeby ludzi atakował. Coś go widać po ucieczce Szkopów w ryzach trzymało. A co ty się tak o tego dusioła dopytujesz, Zenuś?

– A jakbym ci, Jacek, powiedział, że truchło dusioła na własne oczy widział?

– Nie cyganisz? – zapytał poważnie Wrębny.

– Jak Boga kocham! – Kapelusznym uderzył się w pierś.

– To ja bym ci, kamrat, powiedział, że dożywotnio ci mięso będę przynosić za takie nowiny.

– A to się dobrze składa – przytomnie wykorzystał sytuację Zenek. – Na dożynki babom trzeba ze dwie sarny i dzika.

– Załatwione! – Klasnął dłońmi w uda Jacek. – No to jeszcze po jednym?

– Nie odmówię!

W końcu przyszłość zaczynała się rysować w bardziej kolorowych barwach.

Szeptucha 9

Dożynki część 1

Zenek Kapelusznym ocknął się nagle i nie było to przyjemne przebudzenie. Jego dolna połowa ciała spoczywała na drewnianej ławce, a górna znajdowała się w zgoła opłakanym stanie. Dłonie oplatały miłośnicie pęki pokrzyw, tors oddychał niespokojnie, a półotwarte usta wypełnione były obślinioną ziemią. Wysuszony jęzor podjął próbę udrożnienia jamy ustnej, ale zadanie okazało się ponad siły. Z niemiłosiernym skrzypieniem do sklepu zbliżał się rower. Aurelka wyhamowała przed wejściem i oparła pojazd o płot. Chwyciła siatkę, dotychczas wiszącą na rączce kierownicy, i pomaszerowała do środka.

– Dzień dobry! – zaświergotała radośnie. – Dwadzieścia bułek poproszę!

– Dzień dobry! – odparła zażywna sklepowa. – Oj, to widzę, że u was cały czas ten indyjczyk mieszka, i apetycik na polskie jedzenie mu dopisuje?

Aurelka zignorowała wścibstwo ekspedientki i uśmiechnęła się uprzejmie. Przez chwilę wodziła wzrokiem po półkach, układając sobie w myślach resztę zakupów.

– Jeszcze pięć kilku karmy Pedigree poproszę, mleko i kupon totolotka. Tu ma pani numery.

– Proszysz... – wycedziła urażonym tonem sklepowa i rzuciła na ladę torbę psiej karmy, karton łaciatego i wydruk z maszyny totalizatora.

Lela kompletnie nie przejęła się fochami sklepowej Jadźki i ze stęknieniem zebrała wiktuały. Z pewnym wysiłkiem zaczepiła siatki na rączkach roweru i z niemiłosiernym zgrzytem nieoliwionego łańcucha odjechała w stronę domu prababci,

kompletnie nie zwracając uwagi na cierpiącego kacowe katusze Zenka. A Kapelusznym cierpiał bardzo. Jego mózg bombardowany kakofonią dźwięków dnia codziennego zawiesił się na jednym, jedynym pragnieniu.

– Pić! – wycharczał Zenuś i na czworakach ruszył w stronę rowu melioracyjnego. Zarośniętego pokrzywami, jak się wkrótce okazało. Po wizycie urzędników unijnych został tylko smród bobków zdziczałych kóz, a skoszone przed wizytacją zielsko odrosło w pełnej krasie. Zenek zwinął się w trawie jak dziecko i zaszłochał bezradnie. Opodal przechadzała się koza.

...

– Dzień dobry, Lucyno! Dzień dobry, Mruczku! – roześmiana Lelka wjechała na prababciną polankę i przywitała się ze słońcem i z kotem. Zwierzaki nie pozostały obojętne i podbiegły do roweru. Znaczący, podbiegła słońca Lucyna, a w rytm drgań gleby przyturlał się kot Mruczek. Na podwórzu stała gigantyczna gliniana donica, do której Aurelia z niemałym wysiłkiem wsypała zawartość pięciokilogramowej torby karmy dla psów.

– Smacznego! – powiedziała, i odczepiwszy z rączki roweru siatkę z kajzerkami, pobiegła do letniej kuchni.

Lucyna rzuciła się łapczywie na swe polskie kulinarne odkrycie. Mruczek wskoczył na brzeg donicy i cierpliwie czekał na swoją kolej. On też preferował psie żarcie. Wychodził z założenia, że ludzie wolą te azorowate podlizuchy, i do karmy sypią im więcej mikroelementów, niż do żarcia dla nie lubianych powszechnie kotów. Lucyna ideologii nie dorabiała. Jej wystarczyło, że żarcie nie śmierdziało bananami, którymi żywiła się przez wszystkie lata spędzone w Indiach. Z donośnym trąbieniem słońca powitała kolejny dzień w nowej ojczyźnie i ustąpiła grzecznie Mruczkowi miejsca przy donicy. Chwilę pokręciła się w miejscu i wkrótce pobiegła oddać zwyczajowy poranny stolec na polu Stachańskich.

– Już jestem, prababciu! – zaświergotała radośnie Aurelka, rozglądając się za Rajatem, swoim dalekim kuzynem z jeszcze dalszych Indii.

– No! W porę przychodzisz – powitała ją Szeptucha, odwracając się od kuchni. – Dopiero co Boguś przyszedł się z tobą obaczyć.

– Tata? – zdziwiła się Lelka. – A co chciał?

– Nie „co chciał”, a „co chce”, bo siedzi w paradnej izbie i nigdzie się nie wybiera – sprecyzowała prababka. – Z Rajatem usiadł i coś tam mu prawi.

– Zamorduję! – wrzasnęła Aurelia. – Znowu mi obciachu narobi!

– Cicho bądź! – ofuknęła ją Szeptucha. – A co ma niby narobić? Ojciec nie wie, że Rajat to twój narzeczony, racja?

– No racja – skapitulowała nastolatka. – No, ale co ojciec, prababko, od niego może chcieć? To podejrzane jest!

– A ile już Rajat tu u nas siedzi?

– No... tygodni parę. Krótko.

– I codziennie dziesięć kajzerek żre i miskę żuru z kartoflami.

– Oj, wie prababcia! – zachnęła się Lelka. – Tak gościom jedzenie wypominać!

– Ja nikomu nie wypominam, ale emerytura częściej niż każdego dziesiątego przychodzić nie chce, a żarcie, z pewnymi wyjątkami, w lesie nie rośnie. O! – podsumowała prababka. – A Boguś, tatuś twój znaczy się, Rajata chce u siebie w tej ochroniarskiej firmie zatrudnić. Nada się chłopak jak nic. Ma wyjątkowe zdolności do zdalnej prewencji.

– A ja to nie? – obruszyła się Lela.

– Ty też, dziecko.

– No to jak się Rajat do tatusia firmy zapisze, to ja też chcę. Razem będziemy na patrole chodzić! – ogłosiła stanowczo Aurelia.

– A może i to niegłupie? – zarechotała stara. – Pogadam z twoimi ojcami. Matka pewnie okoniem stanie, ale i na nią się sposób wynajdzie.

– Dzięki, prababciu! – rozpromieniła się Lelka i jej młodocianą jaźnią zawładnęła wizja nocnych patroli, przedzieranie się w mrocznej gęstwinie zarośli i wspólne czołganie się po pachnącej dzikim rumiankiem łące.

Co ciekawe, dokładnie to samo miała na myśli jej prababka.

– No, Leluś! – cmoknęła Szeptucha ponaglająco. – Chłopy gadają, ale jak to one, zaraz zgłodnieją. Łap smalec i kanapki rób, a ja pójdę wypuścić Lucynę na pole Zośki Stachańskiej.

– Sama polazła – osadziła babkę Lela, nie odwracając się od kuchennego blatu.

– Wot, zmyślna bestia! – cmoknęła z aprobatą Szeptucha i szurając kapciami poszła w stronę domu. Pokojowe czy nie, ale męskie rozmowy trzeba dozorować.

...

Janka, żona Bogusia i matka Aurelii, zazgrzytała ze złości zębami. Z całego serca nie znosiła babki męża i szarpały nią straszliwe zgryzoty, odkąd ta podła baba ukradła jej córkę. Niby Lela do domu przychodziła, ale pachniała tak obco, inaczej wyglądała, i opowiadała dziwactwa, którymi najwyraźniej podła Szeptucha jej myśli nabijała. Dobrze, że babsko przynajmniej na razie nie interesowało się Mateuszem. Oczko w głowie Janki skończyło podstawówkę z pierwszą lokatą i od września tego roku rozpoczęło naukę w gminnym gimnazjum. Największym marzeniem Janki było wykształcenie dzieci i

wysłanie ich do Warszawy. Liczyła na to, że w zgiełku ogromnego miasta w jej potomstwie nie obudzi się genetyczna spuścizna niewygodnych krewnych. Krewnych, co należy wyjaśnić, pośród których Szeptucha była zaledwie nieszkodliwą, sfiksowaną staruchą. Zdecydowanie gorsze obciążenia genetyczne zafundowała dzieciom gałąź po kądzieli. Zaniepokojona matka miała nadzieję, że akurat to dziedzictwo nigdy się w jej dzieciach nie odezwie.

– Pst... – coś szurnęło w krzakach i syknęło porozumiewawczo.

– Kto tam? – zapytała ze zniecierpliwieniem w głosie Janina.

– To ja – wyjaśnił Mruczek.

– Wydawało mi się, że kot mówi „miau” – zadrwiła kobieta.

– Zależy, kto pyta! – odgryzł się kot.

– No, może i tak – zgodziła się dla świętego spokoju bogusiowa żona i zapatrzyła się w niebo.

– Nie będzie pełni dzisiaj – usłużnie podsunął zwierzak.

– Południe ledwie, a ty o nocy rozprawiasz – mruknęła Janka.

– Chmury będą, to i księżyc zasłonią.

– A guzik tam wiesz – zachnęła się matka Leli. – Pilnuj się lepiej dzisiaj, i tego słońca do stodoły na noc spędź, bo do rana tylko kości z niego zostaną.

Kot wygiął grzbiet, zeskoczył na trawę i na wszelki wypadek nie podjął dalszej dyskusji. Nie godzi się spoufalać z obcym obozem.

– Stara proszą, żebyś do niej na herbatkę zaszła po południu. Sprawę ma – wypalił na odchodne i uznawszy, że misja została wypełniona, czmychnął w pobliskie krzaki.

Janina wzruszyła ramionami i weszła do domu. Jeszcze czego! Na

audiencję do jaśnie prababki chodzić nie zamierza! Na oparciu fotela zauważyła lełczyne gatki. A może jednak pójdzie? Może to pora najwyższa o swoją córkę pierworodną się upomnieć?

...

– Wstawaj, Zenek! – W jaźń skacowanego Kapelusznego wbił się ostry głos sołtysa Alojzego Gąsiora.

– Czego chcecie? – wymamrotał pod nosem pijak.

– Robota jest!

– W niedzielę nie robię!

– Wot, durny ty, wtorek przecie dzisiaj – zarechotał sołtys.

– Nie może to być! – przeraził się Zenek i usiał gwałtownie. W głowie mu się zakołysał świat, ale nie to było najgorsze. – Psiamać! Rentę po tatulu podpisać w poniedziałek miałem!

– No to widzisz, z renty nici. Znaczy się, robota jak nic ci się przyda. Wstawaj!

– Sił nie mam! –poskarżył się Kapelusznym.

– No to masz – ulitował się sołtys i podał cierpiącemu butelkę zimnego piwa.

– Dzięki, sołtysie! – Zenek chwycił flaszkę, zębami kapsel zerwał i łapczywym haustem wypił aż do dna. Beknął donośnie i westchnął z nieskrywaną ulgą. – Z pana to jednak porządny chłop jest.

– No! Sprawisz się dobrze, to potem i wino dostaniesz. Idziemy!

Zenek poderwał się dziarsko, i nikt by się nawet nie domyślił, że jeszcze kilka chwil wcześniej czołgał się z trudem po łące. Teraz podązał za swoim zbawcą, dziarsko przesadzając kępy pokrzyw i rozgarniając wysokie zielisko.

- Co to za robota, szefie? Znowu jakaś komisja do nas jedzie?
- Gorzej, Kapelusznym. Dożynki idą – westchnął sołtys. – Baby jak co roku pocipiały i Bóg wi, co chcą na poczęstunek szykować.
- Wyżerka znowu będzie! – ucieszył się Zenuś.
- Aj, Kapelusznym, do wyżerki to jeszcze daleka droga! Każda wieś dostała na przygotowania po pięćset złotych.
- Jezusie, toż to majątek!
- Głupiś, Kapelusznym, jak but! Na wina przeliczasz, a ja tu kombinuję, jak całą gminę na naszym stoisku dożynkowym ugościć za te nędzne grosze., – parsknął ze złością Alojzy Gąsior. – I, co więcej – dodał po chwili – jak tu rywali pokonać i na dożynkach wygrać.
- No... a wianek? – podsunął nieśmiało Zenuś.
- Wianek! Wianek! A co ma wianek do tego? Wyplatają baby jakiś ołtarzyk ze świętym Janem Pawłem II i na konkursie wianków mamy całkiem spore szanse. No ale, Kapelusznym, sam powiedz, damy radę na stoisku słomą ludzkie kichy zapchać?
- No fakt, ma sołtys rację. Nie damy rady. Ludzie nie kozy, słomy żreć nie chcą – podsumował Zenek filozoficznie.
- Jak ja ci dam kozy, do jasnej cholery...! – wrzasnął sołtys na wspomnienie chińskich kóz, które sprowadził do wsi przed przyjazdem komisji unijnej w celu założenia pokazowej farmy ekologicznej.
- Dobra, nic nie mówię – wycofał się pospiesznie Kapelusznym. Grunt był śliski. W końcu to on stawiał zagrodę, z której kozy pouciekały tuż przed przyjazdem członków delegacji.
- No i słusznie! Nie gadaj, tylko słuchaj – odparł sołtys, wychodząc na drogę i energicznie otupując buty. – Zależy nam

na zajęciu pierwszego miejsca w konkursie stoisk z żarciem regionalnym, ale żeby tego dokonać, to potrzebujemy trzech rzeczy.

– Żarcia?

– Żarcie to właśnie efekt trzech składowych, o których mówiłem, zanim mi się wciąłeś między wódkę a zakąskę! – prychnął wściekle szef wioski.

– Aha! – skomentował inteligentnie Kapelusznym, który tak, prawdę mówiąc, z wypowiedzi sołtysa wysyntezyował wyłącznie „wódkę”, i na wszelki wypadek postanowił się zgodzić. A nuż Alojzy Gąsior będzie polewać?

– Nam jest, Kapelusznym, potrzebna po pierwsze, wiedza, co sąsiedzi gotują, po drugie, stosowne wiktuały zdobyte tanim kosztem, i po trzecie, dobra nalewka, która z nóg nie zetnie, ale pijących rozweseli.

– Pędzić mam, znaczy się? – ucieszył się Zenek.

– A idź ty mi z tymi swoimi samogonami, Kapelusznym, bo nie wytrzymam zaraz! Nikt nie uwierzy, że twoje trunki fioletu od śliwek nabrały. Ty masz, Zenek, inne zadanie. Szpiegiem będziesz i tym, no... inspicjentem..

– Pan sołtys się za reżyserkę bierze?

– Co ty, Zenek, pier...?

W środek plugawych słów, które zamierzał wygłosić ojciec wsi, wciął się zenkowy kaszel.

– Znaczy się, intendentem mam być? – domyślił się Kapelusznym.

– I to nie byle jakim! – Sołtys najwyraźniej odzyskał rezon. – Masz zdobyć składniki za darmo. No! A teraz leć po chałupach, z babami gadaj, i zamówienia zbieraj. Tam już cię czekają z wiśnióweczką.

Ostatni argument sprawił, że Zenon Kapelusznym podskoczył w miejscu i pognał w stronę zabudowań, jakby go sam wampir gonił.

...

– Osobiście uważam, mój drogi wnuku, że dalsze ustalenia można przy drugim śniadaniu poczynić – Szeptucha stanowczo wkroczyła w środek męskich rozmów.

Rajat siedział cokolwiek otumaniony i wodził czarnymi oczami o migdałowym wykroju od ciotecznej prababki do ojca Lelki, groźnego i postawnego faceta w czarnym uniformie. Na wszelki wypadek zaniechał podczas rozmowy zwrotu „kochany wuju” i czujnie wsłuchiwał się w słowiański głos ojca swojej ukochanej. Dziękował opatrności, że pradziadek Józek wtłoczył mu do łba podstawy socjologii słowiańskiej. Aurelia była oczywiście inna i rozumiała wszystko, ale jej rodzina stanowiła wyzwanie. Do cholery, tu nawet bananów nie było! Znaczy były. W sklepie i nawet na paterze w kuchni letniej, ale nikt ich nie używał do gotowania. Nienormalne kompletnie. Lucynie się podobało, ale Rajat tęsknił do domowego jedzenia swej matki. U niego w domu przynajmniej się żarcia z lasu nie przynosiło w wiklinowych koszykach. Chociaż z drugiej strony żurek z grzybami...

– A co tam gotujecie, babko? – zaciekawiał się w tymczasem Boguś, ojciec Aurelii i wnuk Szeptuchy.

– Oj, wnusiu, nie ja warzę, ino córka twoja. Chodźcie do kuchni, bo tam żur stygnie, a i kanapki ze smalcem się znajdują.

– To mówiąc, babka łypnęła nie na swojego wnuka, ale na Rajata, który obślinił się na wzmiankę o żurku.

Atmosfera w kuchni była gęsta, że nożem by ją można kroić. Lelka nałała zupę do talerzy i teraz nerwowo siorbała, spoglądając raz na ojca, raz na prababkę. Wzroku Rajata na wszelki wypadek unikała.

– No to co tam, Boguś, z Rajatem ustaliliście? – od niechcienia rzuciła Szeptucha.

– A... chłopak zmyślny, to mi się w firmie przyda. Jutro go szefowi przedstawię. Nada się jak nic. Krewnych trzeba przecież wspierać, no nie? – Boguś uśmiechnął się od ucha do ucha, a Lela zakrztusiła się kartofelkiem.

– Co tam, córuś? – zatroszczył się Boguś.

– Nic jej nie będzie! – zbagatelizowała sprawę Szeptucha i walnęła prawnuczkę w plecy. – Powiedz lepiej, Boguś, czy Rajat ci się pochwalił swoimi niezwykłymi zdolnościami?

– Nie, a powinien? – zapytał ojciec Aurelii, pospiesznie przełykając zawartość łyżki.

– Rajat! – zadysponowała stara.

Chłopak z żalem porzucił talerz, wstał i złożył przed Bogusiem głęboki ukłon. Zaplótł nogi na wysokości stołu i zawisł w powietrzu. Dotknął kciukami śniadego czoła, i dryfując ponad linoleum, skłonił się ponownie.

– No ładnie, ale jak to się ma nam niby w firmie przydać? Będiesz biurka lewitował, żeby sprzątacze było łatwiej? – parsknął histerycznym śmiechem Boguś. Tak się zazwyczaj dzieje, gdy zwykły zjadacz chleba stanie się mimowolnym świadkiem zjawiska, które wykracza poza jego zdolność percepcji. Gdy wyprzeć się nie da, to trzeba zjawisko zbagatelizować.

– Tatusiu! – Aurelia poderwała się na równe nogi i stanęła obok dryfującego nad podłogą Rajata. – Jesteś okrutny i nieczuły! – Napięte do granic ostateczności nastoletnie nerwy nie wytrzymały, i z sarnich oczu nastolatki potoczyły się wielkie jak groch łzy.

– A co ja znowu nie tak powiedziałem? – zdumiał się ojciec ochroniarz.

– Cicho, Boguś, siedź – zadysponowała Szeptucha i cmoknęła z dezaprobatą. – Lela, pokaż, co potrafisz!

Aurelia spojrzała na prababkę i potrząsnęła przecząco głową.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się – uspokoiła ją stara.

– Zniszczenia pokryje PZU, a ta kuchnia letnia już dawno się o remont prosi.

Lela stanęła za dryfującym prawnukiem Józka i głęboko westchnęła. Przytuliła się do pleców Hindusa i pstryknęła palcami. W jednej chwili dach chałupy nabrał niespotykanej elastyczności i zassał eternit do środka. Gdy Lela wypuściła powietrze z płuc i kaszlnęła, poszycie wróciło na swoje miejsce, a papa wystrzeliła płatami na pole Stachańskiej. Warkoczami energii na parę młodych spływały zjawiska atmosferyczne. Nad podwórkiem rozpętała się burza z piorunami. Słonica Lucyna z donośnym rykiem umknęła do stodoły. Aurelia wtuliła dłonie we włosy Rajata. Wyładowania elektryczne nakładały na letnią kuchnię kolejne czasoprzestrzenie. Boguś, kompletnie oszołomiony, chłonał epoki, dziwne miejsca i nieznanne stwory wirujące wokół pary dzieciaków. Na kuchennej ścianie wyświetlały się kolejne kadry wydarzeń historycznych, a chałupa drżała w posadach.

Po kilku chwilach świat wrócił do normy.

– No i po awarii – ogłosił radośnie Boguś, podrywając się na równe nogi. – Pójdę już, babko. Do pracy muszę wracać – posłał starej wymuszony uśmiech i chwiejnie ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

– No masz, i gadaj tu z takim! – zwiesiła głowę Lelka.

– Boguś! – osadziła go Szeptucha.

– No?

– Co no? – zachnęła się baba. – Nadadzą się czy nie?

Boguś powiódł nieprzytomnym spojrzeniem od babki do Aurelii.

– Tak, tak. Niech przyjdą jutro do biura – wyszeptał i uniósł głowę. – Coś z tym dachem by trzeba ... – Wykonał nieokreślony ruch ręką i pospiesznie czmychnął z letniej kuchni.

– No, to załatwione! – zarechotała babka. Klasnęła z radości w dłonie i puściła do Leli oko.